

oczy. Potem ukazała się twarz Bekera, zmięta i jeszcze bardziej postarzała.

— Tadek, ja mam do ciebie prośbę.

— Gadaj — rzekłem przechylając się ku niemu.

— Tadek, idę do komina.

Pochyliłem się jeszcze niżej i zajrzałem mu z bliska w oczy: były spokojne i puste.

— Tadek, ale ja byłem tyle czasu taki głodny. Daj mi co zjeść. Na ten ostatni wieczór.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

— Znasz tego Żyda?

— To Beker — odrzekłem cicho.

— Te, Żyd, wlaź tu na buksę i zażeraj. Jak się nażreś, to resztę zabierz ze sobą do komina. Wlaź na buksę. Ja tu nie śpię, to możesz mieć wsty.

— Tadek — chwycił mnie za ramię — chodź. Mam na bloku świetną szarlotkę, wprost od mamy.

Złażąc z buksy trącił mnie ramieniem.

— Patrz — rzekł szeptem.

Spojrzałem na Bekera. Miał przymknięte powieki i iak ślepiec próżno szukał dłonią deski, żeby wleźć na górę.

Proszę państwa do gazu

Cały obóz chodził nago. Wprawdzie przeszliśmy już odwieszenie i ubrania dostaliśmy z powrotem z basenów napełnionych rozpuszczonym w wodzie cyklonem, który znakomicie truł wszy w ubraniach i ludzi w komorze gazowej, a tylko bloki, odgrodzone od nas hiszpańskimi kozłami, nie „wyfasowały” jeszcze ubrań, to jednak i ci, i tamci chodzili nago: upał był okropny. Obóz ściśle zamknięto. Żaden więzień, żadna wesz nie śmie się przedostać przez jego bramę. Ustała praca komand. Cały dzień tysiące nagich ludzi przewalało się po drogach i placach apelowych, leżakowało pod ścianami i na dachach. Spano na deskach, gdyż sienniki i koce były w dezynfekcji. Z ostatnich bloków widać było FKL — tam też odwieszali. Dwadzieścia osiem tysięcy kobiet rozebrano i wypędzono z bloków — właśnie kottują się na „wizach”, drogach i placach.

Od rana czeka się na obiad, je się paczki, odwiedza się przyjaciół. Godziny płyną wolno, jak to w upale. Nawet zwykłej rozrywki nie ma: szerokie drogi do krematoriów stoją puste. Od paru dni nie ma już transportów. Część Kanady zlikwidowano i przydzielono na komando. Trafili na jedno z najcięższych, na Harmentze, jako że byli wypasieni i wypoczęci. W obozie bowiem panuje zawistna sprawiedliwość: gdy można upadnie,

przyjaciele starają się, by upadł jak najniżei. Kanada, nasza Kanada, nie pachnie wprawdzie, jak Friedlerowska, żywicą, tylko francuskimi perfumami, lecz chyba nie rośnie tyle wysokich sosen w tamtej, ile ta ma ukrytych brylantów i monet, zebranych z całej Europy.

Właśnie siedzimy w kilku na buksie, beztroško machając nogami. Rozkładamy biały, przemysłnie wypieczony chleb, kruchy, rozsypujący się, drażniący trochę w smaku, ale za to nie pleśniejący tygodniami. Chleb przysłany aż z Warszawy. Jeszcze tydzień temu miała go w rękach moja matka. Miły Boże, miły Boże...

Wyciągamy boczek, cebule, otwieramy puszkę skondensowanego mleka. Henri, wielki i ociekający potem, marzy głosno o francuskim winie przywożonym przez transporty ze Strasburga, spod Paryża, z Marsylii...

— Słuchaj, *mon ami*, jak pójdziemy znów na rampę, przyniosę ci oryginalnego szampana. Pewnie nigdy nie piłeś, nieprawda.

— Nie. Ale przez bramę nie przeniesiesz, więc nie bujaj. Zorganizuj lepszej buty, wiesz, takie dziurkowane z podwojną podeszwą, a o koszulce już nie mówię, dawno mi obiecałeś.

— Cierpliwości, cierpliwości, jak przyjdą transporty, przyniosę ci wszystko. Znów pójdziemy na rampę.

— A może już nie będzie transportów do komina? — rzucilem złośliwie. — Widzisz, jak zelżało na lagrze, nieograniczona ilość paczek, bić nie wolno. Pisaliście przecież listy do domu... Rozmaicie mówią o rozporządzeniach, sam przecież gadasz. Zresztą, do cholery, ludzi zabraknie.

— Nie gadałbys głupstw — usta otyłego, o uduchowionej jak z miniaturowej Coswaya twarzy marsylczyka (jest moim przyjacielem, ale imienia jego nie znam) zapchane są kanapką z sardynkami — nie gadałbys głupstw — powtórzył przetykając z wysiłkiem („poszło, cholera!”) — nie gadałbys głupstw, ludzi nie może zabraknąć, bobyśmy pozdychali w lagrze. Wszyscy żyjemy z tego, co oni przywiozła.

— Wszyscy, nie wszyscy. Mamą paczki...

— To masz ty i twój kolega, i dziesięciu twoich kolegów, macie wy, Polacy, i to nie wszyscy. Ale my, Żydki, ale Ruskie? I co, gdybyśmy nie mieli co jeść, organisation z transportów,

tobyście tam te swoje paczki tak spokojnie jedli? Nie dali-byśmy wam.

— Dali byście albo byście zdychali z głodu jak Grecy. Kto ma żarcie w obozie, ten ma siłę.

— Wy macie i my mamy, o co się sprzeczać?

Pewnie, nie ma o co się sprzeczać. Wy macie i ja mam, jemy wspólnie, śpimy na jednej buksie. Henri kroi chleb, robi sa-latkę z pomidorów. Świetnie smakuje z kantynową musztardą.

W bloku, pod nami, kotłują się ludzie, nadzy, ociekający potem. Łażą między buksami w przejściu, wzdłuż ogromnego, inteligentnie zbudowanego pieca, między ulepszeniami, które stajnię końską (na drzwiach wisi jeszcze tabliczka, że „*ver-suchte Pferde*” — zarażone konie, należy odstawić tam a tam) przemieniają w miły (*gemütlich*) dom dla ponad pół tysiąca ludzi. Gnieżdżą się na dolnych pryzkach po ośmiu, dziewięciu, leżą nadzy, kościści, cuchnący potem i wydzieli-nami, o zapadniętych głęboko policzkach. Poda mną, na samym dole — rabin; nakrył głowę kawalkiem szmaty oddartej z ko-ca i czyta z modlitewnika hebrajskiego (tej lektury tu jest...), zawołując głośno i monotonię.

— Może by się tak zdało go uspokoić? Drze się, jakby Boga za nogi złapał.

— Nie chce mi się z buksy zlaźić. Niech się drze, prędeży do komina pójdzie.

— Religia jest opium dla narodu. Bardzo lubię palić opium — dodaje z lewej sentencjonalnie marsylczyk, który jest komunistą i rentierem. — Gdyby oni nie wierzyli w Boga i w życie pozagrobowe, już by dawno rozwalili krematoria.

— A dlaczego wy tego nie zrobicie?

Pytanie ma sens metaforyczny, lecz marsylczyk odpowiada: — Idiota — zapycha usta pomidorem i czyni ruch, jakby chciał coś powiedzieć, ale zjada i milczy. Kończyliśmy właś-nie wyzerkę, gdy u drzwi bloku uczynił się większy ruch, od-skoczyli muzulmani i rzucili się uciekając między buksy, do budy blokowego wleciał goniec. Za chwilę majestatycznie wy-szedł blokowy.

— Kanada! *Antreten!* Ale szybko! Transport przychodzi!

— Wielki Boże! — wrzasnął Henri zeskakując z buksy.

Marsylczyk zadławił się pomidorem, chwycił marynarkę,

wrzasnął „*raus*” do siedzących na dole i już byli we drzwiach. Zakotowało się na innych buksach. Kanada odchodziła na rampę.

— Henri, buty! — krzyknąłem na pożegnanie.

— *Keine Angst!* — odkrzyknął mi już z dworu.

Opakowałem żarcie, owiązałem sznurami walizę, w której cebula i pomidory z ojcowskiego ogródka w Warszawie leżały obok portugalskich sardynek, a boczek z lubelskiego „Bacutilu” (to od brata) mieszał się z najautentyczniejszymi bakallami z Salonik. Owiązałem, naciągnąłem spodnie, zlązłem z buksy.

— *Platz!* — wrzasnąłem przyciskając się między Grekami. Odsuwali się na bok. We drzwiach natknąłem się na Henriego.

— *Allez, allez, vite, vite!*

— *Was ist los?*

— Chcesz iść z nami na rampę?

— Mogę pójść.

— To jazda, bierz marynarkę! Brakuje paru ludzi, rozma-
wiałem z kapem — i wypchnął mnie z bloku.

Staaliśmy w szeregu, ktoś spisał nam numery, ktoś od czola wrzasnął „marsz, marsz” i pobiegliśmy pod bramę, odpro-
wadzani okrzykami różnojęzycznego tłumu, który już zapę-
dzano bykowcami do bloków. Nie każdy może iść na rampę...
Już żegnano ludzi, już jesteśmy pod bramą. — *Links, swei, drei, vier! Mützen ab!* — Wyprostowani, z rękami sztywno przyłożonymi do bioder, przechodzimy przez bramę rażno, sprężyste, nieomal z gracją. Zaspiany esman, z wielką tab-
liczką w ręku, liczy ospale, oddzielając w powietrzu palcem każdą piątkę.

— *Hundert!* — krzyknął, gdy minęła go ostatnia.

— *Stimmt!* — odkrzyknięto ochryple od czola.

Maszerujemy szybko, prawie biegiem. Postów dużo, młodzi z automatami. Mijamy wszystkie odcinki obozu II B: nie za-
mieszkały lager C, czeski, kwarantanna, zagłębiamy się mię-
dzy gruze i iablonie truppenlazarettu; wśród nieznałomej,
jakby z księżycą zieleni, dziwnie w tym kilkudniowym słońcu
wybujalej, omijamy lukiem jakies baraki, przechodzimy linię
wielkiej postenketty, biegiem wpadamy na szosę — jeste-
śmy na miejscu. Jeszcze kilkadziesiąt metrów — wśród drzew
rampa.

Była to sielankowa rampa, jak zwykle na zagubionych, prowincjonalnych stacjach. Placyk, obramowany zielenią wy-
sokich drzew, wysypany był żwirem. Z boku, przy drodze, kucnął małeńki drewniany baraczek, brzydszy i tandetniej-
szy od najbrzydszej i najtandetniejszej budy stacyjnej, dalej leżały wielkie stopy szyn, podkłady kolejowe, zwąły desek, części baraków, cegły, kamienie, kregi studzienne. To stąd ładują towar na Birkenau: materiał do rozbudowy obozu i lu-
dzi do gazu. Zwykły dzień roboczy: zajężdżają samochody, biorą deski, cement, ludzi...

Rozstawiają się posty na szynach, na belkach, pod zielonym cieniem śląskich kasztanów, ścisłym kołem otaczają rampę. Ocierają pot z czoła, piją z manierek. Upał ogromny, słońce stoi nieruchomo na zenicie. — Rozejść się! — Siadamy w skraw-
kach cienia pod szynami. Głodni Grecy (zaplałato się ich paru, diabli wiedzą, jakim sposobem) myszkują wśród szyn, ktoś znajduje puszkę konserw, spleśniałe bulki, nie dojezione sar-
dynki. Jedzą.

— *Schweinedreck* — spluwa na nich młody, wysoki post, o bujnych płowych włosach i niebieskim, marzącym spojrze-
niu — przecież zaraz będziecie mieli tyle do żarcia, że nie przeżrecie. Odechce się wam na długo. — Poprawił automat, otarł twarz chustką.

— To bydlę — potwierdzamy zgodnie.

— Te, gruby — but posta dotyka lekko karku Henriego. —

Pass mal auf, chce ci się pić?

— Chce, ale nie mam marek — odpowiedział fachowo Francuz.

— *Schade, szkoda.*

— Ależ, *Herr Posten*, czy moje słowo nic już nie znaczy?

Nie handlował *Herr Posten* ze mną? *Wieviel?*

— Sto. *Gemacht?*

— *Gemacht.*

Pijemy wodę, mdla i bez smaku, na konto pieniędzy i ludzi, których jeszcze nie ma.

— Te, uważaj — mówi Francuz odrzucając pustą butelkę, aż przyska gdzieś dalej na szynach — forsy nie bierz, bo może być rewizja. Zresztą na cholere ci forsa, i tak masz co jeść. Ubrania też nie bierz, bo to jest podejrzenie o ucieczkę. Koszulę bierz,

ale tylko jedwabną i z kolnierzykiem. Pod spód gimnastyczna. A jak znajdziesz coś do picia, to mnie nie wolać. Dam sobie radę, i uważaj, żebyś nie oberwał.

— Biją?

— Rzecz normalna. Trzeba mieć oczy w plecach. *Arschaugen*.

Wokół nas siedzą Grecy, ruszają łapczywie żuchwami, jak wielkie, nieludzkie owady, żrą łakomie zbutwiałe grudy chleba. Są zaferowani, nie wiedzą, co będą robić. Niepokoją ich belki i szyny. Nie lubią dźwigania.

— *Was wir arbeiten?* — pytają.

— Niks. Transport kommen, alles Krematorium, compris?

— *Alles verstehen* — odpowiadają w krematoryjnym esplanto. Uspokajają się: nie będą ładować szyn na auta ani nosić bełek.

Tymczasem na rampie robiło się coraz gwarniej i tłoczniej. Vorarbeiterzy dzielili sobie grupy przeznaczając jednych do otwierania i rozładowywania wagonów, które przyjeżdżają, innych pod drewniane schodki i wyjaśniając im celowe działania. Były to przenośne, wygodne, szerokie schodki, jakby wejście na trybunę. Zajeżdżały z warkotem motocykle wiozące obsypanych srebrem odznak podoficerów SS, tegich, spasionych mężczyzn o wypolerowanych oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, inni mieli gładkie trzcinowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mierzny barak był ich kantyną, gdzie latem pili wodę mineralną — *Sudetenquelle*, a zimą ogrzewali się gorącym winem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem kordialnie potrzęsali prawicę, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali o listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrząścił, buty chrząściły, srebrne kwadraty błyszczały na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie.

Różnopasiasy tłum leżał pod szynami w wąskich pasach cienia, oddychał ciężko i nierówno, gadał po swojemu, leniwinie i obojętnie patrzył na majestatycznych ludzi w zielonych mundurach, na zieleni drzew, bliską i nieosiągalną, na wieżę

dalekiego kościółka, z której dzwoniło właśnie na spóźniony Aniol Pański.

— Transport idzie — rzekł któryś i wszyscy unieśli się w oczekiwaniu. Zza zakrętu wychodziły towarowe wagony: pociąg pchał się tyłem, kolejarz stojący na breku wychylił się, zamachał ręką, gwizdnął. Lokomotywa przeraźliwie odgwizdnęła, sapnęła, pociąg potoczył się wolno wzdłuż stacji. W małych zakratowanych okienkach widać było twarze ludzi, blade, zmięte, jakby niewyspane, rozczochrane — przerażone kobiety, mężczyźni, którzy, rzecz egzotyczna, mieli włosy. Mijali powoli, przyglądali się stacji w milczeniu. Wtedy wewnątrz wagonów zaczęło się coś kotłować i dudnić w drewniane ściany.

— Wody! Powietrza! — zerwały się głuche, rozpaczliwe okrzyki.

Z okien wychylały się twarze ludzkie, usta chwytały rozpaczliwie powietrze. Zaczernawszy kilka łyków powietrza ludzie z okien nikli, na ich miejsce wdierali się inni i tak samo znikali. Krzyki i rżenia stawały się coraz głośniejsze.

Człowiek w zielonym mundurze, bardziej niż inni obsypany srebrem, skrzywił usta z niesmakiem. Zaciągnął się papierosem, odrzucił go nagłym ruchem, przelożył teczkę z prawej do lewej i skinął na posta. Ten powoli ściągnął automat z ramienia, złożył się i przeciągnął serią po wagonach. Ucichło. Tymczasem podjeżdżały ciężarówki, podstawiono pod nie stolki, rozstawiono się fachowo przy wagonach. Olszym z teczką skinął ręką.

— Kto weźmie złoto albo cokolwiek innego nie do jedzenia, będzie rozstrzelany jako złodziej własności Rzeszy. Zrozumiano? *Verstanden?*

— *Ja wohl!* — wrzaśnieło nierówno i indywidualnie, aczkolwiek z dobrą wolą.

— *Also los!* Do pracy!

Szczęknięty rygle, wagony otwarto. Fala świeżego powietrza wdarła się do środka, uderzając ludzi jakby czadem. Niezmienne zbici, przytłoczeni potworną ilością bagażu, waliz, walizek, walizeczek, plecaków, tłumoków wszelkiego rodzaju (wieźli bowiem to wszystko, co stanowiło ich dawne życie, a miało rozpocząć przyszłe), gnieździłi się w strasznej ciasno-

cie, mdleli od upału, dusili się i dusili innych. Teraz skupili się przy otwartych drzwiach, dysząc jak ryby wyrzucone na piasek.

— Uwaga: Wsiadać z rzeczami. Zabięrać wszystko. Wszytkie te swoje kłamoty składać kolo wagonu na kupę. Palta oddawać. Jest lato. Maszerować na lewo. Zrozumiano?

— Panie, co z nami będzie? — zeskakują już na żwir, nie-spokojni, roztrzęsieni.

— Skąd jesteście?

— Sosnowiec, Będzin. Panie, co to będzie? — uparcie powtarzają pytania, wpatrując się żarliwie w cudze zmęczone oczy.

— Nie wiem, nie rozumiem po polsku.

Jest prawo obozu, że ludzi idących na śmierć oszukuje się do ostatniej chwili. Jest to jedyna dopuszczalna forma litości. Upał ogromny. Słońce osiągnęło zenit, rozpalone niebo dygoce, powietrze faluje, wiatr, który chwilami przewiewa przez nas, to rozparzone, ciekłe powietrze. Wargi już są popękane, czują się w ustach słony smak krwi. Od długiego leżenia na słońcu ciało jest słabe i oporne. Pić, och, pić.

Wylewa się z wagonu różnobarwna fala, objuczona, podobna do ogłupiałej, ślepej rzeki, która szuka nowego koryta. Ale zanim oprzytomnieją, uderzeni świeżym powietrzem i zapachem zieleni, już im pakunki wyrwywa się z rąk, ściąga się palta, ko-bietom wyrwywa się torebki, odbiera parasole.

— Panie, panie, ale to od słońca, ja nie mogę...

— *Verboten* — szczerka się przez zęby, sycząc głośno.

Za plecami stoi esman, spokojny, opanowany, fachowy.

— *Meine Herrschaften*, moi państwo, nie rozrzucacie tak rzeczy. Trzeba okazać trochę dobrej woli. — Mówi dobrotliwie, a cienka trzcina gnę mu się nerwowo w rękach.

— Tak jest, tak jest — odpowiadają wielogłosnie przechodząc i raźniej idą wzdłuż wagonów. Jakaś kobieta schyla się szybko podnosząc torebkę. Świsnęła trzcina, kobieta krzyknęła, potknęła się i upadła pod nogi tłumu. Dziecko biegnące za nią pisnęło: „Mamele!” — taka mała, rozczochrana dziewczynka...

Rosnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pleców, ubrań, torebek, które padając otwierają się i wysypują barwne

teczowe banknoty, złoto, zegarki; przed drzwiami wagonów piętrzą się stopy chleba, gromadzą stoliki różnobarwnych mar-molad, powidel, pęczniczą zwaly szyniek, kielbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet oplakujących dzieci i ogłupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo — młodzi i zdrowi — ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wpięrw będą pracować.

Autą odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka Czerwonego Krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż wymalowany na masce motoru roz-tapia się w słońcu. Niezasmordowanie jeździ karetka Czerwo-nego Krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

Ci z Kanady, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych do gazu od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesiąciu, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esman z notat-nikiem w ręku; każde auto to kreska, jak odjedzie szesnaście aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: *Ordnung muss sein*. Kreski pęczniczą w tysiące, tysiące w cale transporty, o których mówi się krótko: „z Salonik”, „ze Strasburga”, „z Rotterdamu”. O tym będzie się już dziś mów-wilo „Będzin”. Ale na stałe uzyska nazwę „Będzin—Sosno-wiec”. Ci, którzy pójdą z tego transportu na lager, dostaną numery: 131—132. Rozumie się tysiący, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak: 131—132.

Transporty rosną w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo solidar-nych i zjednoczonych Niemiec. *Ein Reich, ein Volk, ein Füh-er* — i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświę-cimiu szesnaście, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dzien-nie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym dru-tem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał *Verbrecher-Stadt* — „Miasto Przesiępców”.

Nie, ludzie nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z zachodu i potudnia, z kontynentu i wysp. Przyjdą ludzie w pasiakach, odbudują zburzone miasta niemieckie, zaorzą odlogiem leżącą ziemię, a gdy osłabną w bezlitosnej pracy, w wiecznym *Bewegung*, *Bewegung* — otworzą się drzwi gazowych komór. Komory będą ulepszone, oszczędniejsze, sprytniej zamaskowane. Będą jak te w Dreźnie, o których już chodzą legendy.

Już się opróżniły wagony. Chudy, ospowaty esman spokojnie zagląda do środka, kiwa głową z niesmakiem, ogarnia nas spojrzeniem i wskazuje wewnątrz.

— *Rein*. Oczyszczyć!

Wskakuje się do środka. Porozrucane po kątach wśród kału ludzkiego i pogubionych zegarków leżą poduszone, podeptane niemowlęta, nagie potworki o ogromnych głowach i wydętych brzuchach. Wynosi się je jak kurczaki, trzymając po parę w jednej garści.

— Nie nieś ich na auto. Oddaj kobietom — mówi zapalając papierosa esman. Zapalniczka mu się zacięła, jest nią bardzo zaferowany.

— Bierzcie te niemowlęta, na litosc boską — wybucham, bo kobiety z przerażeniem uciekają ode mnie, wrulając głowy w ramiona.

Dziwnie niepotrzebnie pada imię Boga, bo kobiety z dziećmi idą na auto, wszystkie, nie ma wyjątku. Wiemy wszyscy dobrze, co to znaczy, i patrzymy na siebie z nienawiścią i przerażeniem.

— Co, bracie nie chcesz? — powiedział jakby ze zdziwieniem i wyrzutem ospowaty esman i począł odpinać rewolwer.

— Nie trzeba strzelać, ja wezmę.

Siwą, wysoka pani wzięła ode mnie niemowlęta i przez chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

— Dziecko, dziecko — szepnęła uśmiechając się. Odeszła potykając się na żwirze.

Opartem się o ścianę wagonu. Byłem bardzo zmęczony. Ktoś szarpie mnie za rękę.

— Chodź, dam ci się napić. Wyglądasz, jakbyś miał rzygać. *En avant*, pod szyny, chodź!

Patrzę, twarz ta skacze mi przed oczyma, rozplywa się, miesza się olbrzymia, przezroczysta z drzewami nieruchomy-

mi, nie wiadomo dlaczego czarnymi, z przelewającym się tłumem... Mrugam ostro powiekami: Henri.

— Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy?

— Czemu się głupio pytasz?

— Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie nie-zrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie wspólcuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chyba, nie mogę zrozumieć.

— Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Mężczy się rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wyładować na słabszym. Pożądana jest nawet, abys ją wyładował. To tak na chłopski rozum, *compris*? — mówi nieco ironicznie Francuz, wygodnie układając się pod szynami. — Patrz na Greków, ci umieją korzystać! Żrą wszystko, co im pod rękę wizie; przy mnie zjadł jeden słoik marmolady.

— Bydło. Jutro polowa z nich zdechnie na szaczkę.

— Bydło? Ty też byłeś głodny.

— Bydło — powtarzam zawzięcie. Zamykam oczy, słyszę krzyki, czuję drżenie ziemi i parne powietrze na powiekach. W gardle zupełnie sucho.

Ludzie płyną i plyną, auta warczą jak rozjuszone psy. W oczach przesuwają się trupy wynoszone z wagonów, zdeptane dzieci, kaletki poukładane razem z trupami, i tłum, tłum, tłum... Wagony podtaczają się, stopy łachów, waliz i plecaków rosna, ludzie wychodzą, przyglądają się słońcu, oddychają, żebrzą o wodę, wchodzą na auta, odjeżdżają. Znów podchodzą wagony, znów ludzie... Czuję, jak obrazy mieszą się we mnie, nie wiem, czy to się naprawdę dzieje, czy mi się śni. Widzę nagle jakąś zieleni drzew, które kołyszą się wraz z całą ulicą, z barwnym tłumem, ale — to Aleje! Szumi mi w głowie, czuję, że będę wymiotował.

Henri szarpie mnie za ramię.

— Nie śpij, idziemy ładować kłamoty.

Już nie ma ludzi. Ostatnie auta suną daleko po szosie wzniecając olbrzymie tumany kurzu, pociąg odjechał, po opustoszałej rampie chodzą dostojni esmani, świecąc srebrem na kol-

nierzach. Polyskują glansiem buty, błyszczą czerwono nalane twarze. Wśród nich kobieta, teraz dopiero uświadamiam sobie, że była tu cały czas, wysuszona, bezpiersna, kościasta. Rzadkie, bezbarwne włosy gładko przyczesała w tył i związała w „nordycki” węzeł, ręce wsunęła w szerokie spodnie-spódnice. Chodzi z kąta w kąt rampy z przylepionym na wyschłe wargi szczyrzym, zawziętym uśmiechem. Nienawidzi urody kobiecej nienawidzi kobiet obrzydliwej i zdającej sobie z tego sprawę. Tak, już ją nieraz widziałem i dobrze zapamiętałem: to komendantka FKL, przysła oglądać swój nabytek, bo część kobiet odstawiono od aut i te pójdą piechotą — na lager. Nasi chłopcy, fryzjerzy z zauny, pozbawiają je całkowicie włosów i będą mieli wiele uciechy z ich wolnościowego wstydu.

Ładujemy więc kłamotoy. Dźwigamy ciężkie walizy, pakowne, zasobne, rzucamy je z wysiłkiem na auto. Tam układa się je w stosy, ubija się, upycha, różne, co się da, nożem — dla przyjemności i w poszukiwaniu wódki i perfum, które wylewa się wprost na siebie. Jedna z waliz otwiera się, wypadają ubrania, koszulki, książki... Chwytałem jakies zawiniątko: ciężkie; rozwijam: złoto, dwie dobre garście: koperty, bransolety, pierścionki, kolie, brylanty...

— *Gib hier* — spokojnie mówi esman nadstawiając otwartą teczkę, pełną złota i barwnej, obcej waluty. Zamyka ją, oddaje oficerowi, bierze inną, pustą, i czatuje przy innym samochodzie. To złoto pójdzie do Rzeszy.

Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżaronym słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. Kończymy ładować, ostatnie auta odjeżdżają, zbieramy skrzętnie znad toru wszelkie papierki, wygrzebujemy spomiędzy drobnego zwiru nietutejszy, transportowy brud, „żeby śladu po tym obrzydlistwie nie zostało”, i w chwili gdy ostatnia ciężarówka znika za drzewami, a my idziemy — nareszcie! — w stronę szyn odpocząć i napić się (może Francuz kupi znów od posta?), zza zakrętu słychać gwizdek kolejarza. Powoli, niezmiernie powoli wiaczają się wagony, przeraźliwie odgwisduje lokomotywa, z okien patrzają twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych, płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan

z notatnikiem, już z kantyny wyszli esmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wyrzywa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiąc ściągając się palta. Idźcie, idźcie, przeminicie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: — Mamo! mammo!

— Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

— Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! — krzyczy histerycznie kobieta i ucieka zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojadą autem, które pójdą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

— Mamo, mammo, nie uciekaj!

— To nie moje, nie moje, nie!...

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym zamasywym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością:

— Ach, ty jeb! twoju mat', blad' jewirejskaja! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! — Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

— Masz! Weź i to sobie! Suko! — i cisnął jej dziecko pod nogi.

— *Gut gemacht*, tak należy karać wyrodne matki — rzekł esman stojący przy samochodzie. — *Gut, gut* Ruski.

— Moczy! — warknął przez zęby Andrej i odszedł do wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkreślił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torse.

Rapiem spośród tej całej fali ludzkiej, która parla ślepo w stronę aut jak rzeka pchana niewidzialną siłą, wynurzyła się dziewczyna, zeskokczyła lekko z wagonu na żwir i spojrziała dookoła

badawczym okiem, jak człowiek, który czemuś bardzo się dziwi.

Bujne jasne włosy rozsypały się miękką falą na ramiona, strząsnęła je niecierpliwie. Przesunęła odruchowo rękoma po bluzeczce, poprawiła nieznacznie spódniczkę. Stała tak chwilę. Wreszcie oderwała wzrok od tłumy i przesuwała spojrzeniem po naszych twarzach, jakby kogoś szukając. Nieświadomie szukałem jej wzroku, oczy nasze spotkały się.

— Słuchaj, słuchaj, powiedz, dokąd oni nas powiozą? Patrzyłem na nią. Oto stoi przede mną dziewczyna o cudnych, jasnych włosach, o ślicznych piersiach, w batystowej letniej bluzeczce, o mądrym, dojrzałym spojrzeniu. Stoi, patrzy mi prosto w twarz i czeka. Oto komora gazowa: wspólna śmierć, ohydna i obrzydliwa. Oto obóz: z ogołoną głową, watomane sowieckie spodnie na upał, wstrętny, mdły zapach brudnego, rozparzonego ciała kobiecego, zwierzęcy głód, nie-ludzka praca i ta sama komora, tylko śmierć jeszcze ohydniejsza, jeszcze obrzydliwsza, jeszcze straszniejsza. Kto raz tu wszedł, nic, nawet popiołów swoich nie wyniesie na posten-kette, nie wróci do tamtego życia.

„Po cóż ona to przywiozła, przecież i tak jej zabiorą” — pomyślałem mimo woli, dostrzegłszy na przegubie ręki śliczny zegarek o drobnoukietej złotej bransoletce. Taki sam miała Tuśka, tylko na czarnej wąskiej tasiemce.

— Słuchaj, odpowiedz.
— Milczałem. Zaciśnięła usta.

— Już wiem — rzekła z odcieniem pańskiej pogardy w głosie, odrzucając w tył głowę; śmiało poszła w stronę samochodów. Ktoś ją chciał zatrzymać, odsunęła go śmiało na bok i wbiegła po schodkach na wypełnione już prawie auto. Zobaczyłem tylko o daleka bujne jasne włosy, rozwiane w pędzie.

Wchodząc do wagonów, wynosiłem niemowlęta, wyrzucałem bagaże. Dotykałem się trupów, ale nie mogłem przemóc wzbierającego dzikiego strachu. Uciekałem od nich, ale leżały wszędzie; poukładane pokotem na żwirze, na cementowym skraju peronu, w wagonach. Niemowlęta, ohydne nagie kobiety, poskręcane w konwulsjach mężczyźni. Uciekam jak najdalej. Ktoś mnie smaga trzcina po plecach, kątem oka dostrzegam klnącego esmana, wymykam mu się i mieszam się

w grupie pasiastej Kanady. Wreszcie znów wiażę pod szyny. Słońce pochyliło się głęboko nad horyzontem i krwawym, zachodzącym światłem oblało rampę. Cienie drzew wydłużały się upiornie; w ciszy, która w naturze zapada pod wieczór, ludzki krzyk bił w niebo coraz głośniej i natarczywiej.

Dopiero stąd, spod szyn, widać całe piekło kotłującej się rampy. Oto para ludzi padła na ziemię, spleciona rozpaczyliwym uściskiem. On wbił kurczowo palce w jej ciało, zębami chwycił za ubranie. Ona krzyczy histerycznie, przeklina, bluźni, aż przyduszona butem rżęzi i milknie. Rozszepniają ich jak drzewo i wpędzają jak zwierzęta na auto. Oto czterech z Kanady dźwiga trupa: olbrzymią, opuchniętą babę, klną i poca się z wysiłku, kopniakami odganiają zabiłkane dzieci, które płaczą się po wszystkich kątach rampy wyjąc przeraźliwie jak psy. Chwytają je za karki, za łby, za ręce i wrzucają na kupę, na ciężarówkę. Tamtych czterech nie da rady dźwignąć baby na auto, wołają innych i zbiorowym mozołem wpychają górę mięsa na platformę. Z całej rampy znosi się trupy wielkie, nabrzmiałe, opuchnięte. Między nie ciska się kaleki, sparaliżowanych, przyduszonych, nieprzytomnych. Góra trupów kotłuje się, skowyczy, wyje. Szofer zapuszcza motor, odjeżdża.

— *Halt! halt!* — wrzeszczy z daleka esman. — Stój, stój, do cholery!

Włoką starca we fraku, z opaską na ramieniu. Starzec głową tłucze o żwir, o kamienie, jęczy i bezustannie, monotonna zawodzi: „*Ich will mit dem Herrn Kommandanten sprechen* — chcę mówić z panem komendantem.” Powtarza to ze starym uporem całą drogę. Wrzucony na auto, przydeptany czyjąś nogą, przyduszony, wciąż rżęzi: „*Ich will mit dem...*”

— Człowieku, uspokój siebie, ale! — woła do niego młody esman, zaśmiewając się głośno — za pół godziny będziesz gadał z największym komendantem! Tylko nie zapomnij powiedzieć mu: *Heil Hitler!*

Inni noszą dziewczynkę bez nogi; trzymają ją za ręce i za tę jedną, pozostałą nogę. Łzy ciekną jej po twarzy, szepce żalostnie: „Panowie, to boli, boli...” Ciskają ją na auto między trupy. Spali się żywcem wraz z nimi.

Zapada wieczór chłodny i gwiaździsty. Leżymy na szynach, jest niezmiernie cicho. Na wysokich słupach palą się anemicz-

ne lampy, za kręgiem światła rozciąga się nieprzenikniona ciemność. Krok w nią, i człowiek znika bezpowrotnie. Ale oczy postów patrzą uważnie. Automaty są gotowe do strzału.

— Wymienites buty? — pyta mnie Henri.

— Nic.

— Czemu?

— Człowieku, ja mam dosyć, kompletnie dosyć!

— Już po pierwszym transporcie! Pomyśl, ja — od Bożego Narodzenia przewinęło się przez moje ręce chyba z milion ludzi. Najgorsze są transporty spod Paryża: zawsze człowiek spotyka znajomych.

— I co im mówisz?

— Że idą się kąpać, a potem spotkamy się w obozie. A ty byś co powiedział?

Milczę. Pijemy kawę zmieszaną ze spirytusem, ktoś otwiera puszkę kakao, miesza z cukrem. Czerpie się to dłońmi, kakao zalepia usta. Znów kawa, znów spirytus.

— Henri, na co my czekamy?

— Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.

— Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać. Nie dam rady.

— Wzięło cię, co? Dobra Kanada?! — Henri uśmiecha się dobrotniwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.

— Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esman nie złapał.

Będziesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.

— Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znów antreten, znów transport. Z ciemności wynurzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znów znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno. Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie czarne, reflektorami oświetlają drzewa. *Wasser!* *Luft!* Znów to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strzelają serią automat, wagony uspokajają się. Tylko jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotennie, piskliwie.

Duszac się — dostała obłądu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiąc nogami ziemię, aż znieruchomiała. Poczęto otwierać wagony.

Byłem znów przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zapelniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie popłatana, ale jeszcze parująca.

— *Ausladen!* — rozległ się głos esmana wynurzającego się z ciemności. Na piersiach miał zawieszony przenośny reflektor. Záswiecił do wnętrza.

— Co stoicie wy tak głupio? Wyładować! — i świsnął kijem przez plecy. Chwyciłem ręką trupa: dłoń jego kurczowo zarwała się wokół mojej ręki. Szarpnąłem z krzykiem i uciekłem. Serce mi łomotato, dławilo gardło. Młodości zgmiotły mnie naraz. Wymiotowałem, skulony pod wagonem. Chwycając się przedkramlem się pod szynny.

Leżałem na dobrym, chłodnym żelazie i marzyłem o powrocie do obozu, o przycy, na której nie ma siennika, o odrobinie snu wśród towarzyszy, którzy w nocy nie pójdą do gazu. Naraz obóz wydał mi się jakąś zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do pracy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę...

Światła migocą upiornie, fala ludzi płynie bez końca, mętna, zgorączkowana, ogłupiała. Wydaje się tym ludziom, że rozpoczynają nowe życie w obozie i psychicznie przygotowują się na ciężką walkę o byt. Nie wiedzą, że zaraz umrą i że złoto, pieniądze, brylanty, które zapobiegliwie ukrywają w fałdach i szwach ubrania, w obcasach butów, w zakamarkach ciała — już im nie będą potrzebne. Fachowi, rutynowani ludzie będą im grzebać we wnętrznościach, wyciągną złoto spod języka, brylanty z macicy i kieszki odchodowej. Wyrwą im złote zęby. W zabitych szczelnie skrzyniach odeślą do Berlina.

Czarne postacie esmanów chodzą spokojne, fachowe. Pan z notatnikiem w ręku robi ostatnie kreski, dopełnia liczby: piętnaście tysięcy.

Dużo, dużo aut pojechało do krematorium.

Już kończą. Trupy porozkładane na rampie zabiera ostatnie auto, kłamoty są załadowane. Kanada objuczona chlebami,

Śmierć powstańca

marmoladą, cukrem, pachnącą perfumami i czystą bielizną, ustawia się do odmarszu. Kapo kończy ładowanie kotła od herbaty złotem, jedwabiami i czarną kawą. To na bramę dla wachmanów: puszcza komando bez kontroli. Parę dni obóz będzie żył z tego transportu: zjadał jego szynki i kielbasy, konfitury i owoce, pił jego wódkę i likiery, będzie chodził w jego bieliznie, handlował jego złotem i tłumokami. Wiele wyniosła cywile za obóz, na Śląsk, do Krakowa i dalej. Przywiozła papierozy, jajka, wódkę i listy z domu.

Parę dni będzie obóz mówił o transportie „Sosnowiec—Będzin”. Był to dobry, bogaty transport.

Gdy wracamy do obozu, gwiazdy poczynają błędnąć, niebo staje się coraz bardziej przezroczyście, podnosi się nad nami, noc przejaśnia się. Zapowiada się pogodny, upalny dzień.

Z krematoriów ciągną potężne słupy dymów i łączą się w górze w olbrzymią, czarną rzekę, która niezmiernie powoli przewala się przez niebo nad Birkenau i niknie za lasami w stronę Trzebinii. Transport sosnowiecki już się pali.

Mijamy oddział SS idący z bronią maszynową na zmianę warty. Idą równo, człowiek przy człowieku, jedna masa, jedna wola.

— *Und morgen die ganze Welt...* — śpiewają na całe gardło.

— *Rechts ran!* Na prawo! — pada od czola komenda.

Usuwamy się im z drogi.

Obok rowu, za wąskim pasmem łąki, leżało pole zasadzone burakami. Wychyliwszy się za brunatny nasyp świeżo wyrzuconej, lepkiej gliny, widziało się prawie że dosięgalne zielone, mięsiste liście, a pod nimi białe, o różowych żyłach końskie buraki, rozparte w mokrej ziemi. Pole ciągnęło się zбочem pod górę i urywało się pod ścianą czarnego lasu, rozmazanego w rzadkiej mgle. Na skraju lasu stał post. Sterczała z niego jak kopia śmieszna tyczka długiego, podobno duńskiego, karabinu. O kilkadziesiąt metrów na lewo, pod rachitycznymi śliwami, rozsiadł się drugi post i owinąłszy się szczelnie w lotniczy szary płaszcz patrzył spod nasuniętej na uszy i czolo furażerki w dolinę jak na dno wanny.

Dalej na zбочu, tam gdzie las schodził w dół kępami młodych wierzb, między niespodziewanie żywotną rzeczka a szosą przecinającą w poprzek dolinę, jeździły olbrzymie traktory równając pługami ziemię rwaną przez bagry i podwożoną z dołu przez szeregi wagoników pchanych przez ludzi. Było tam niebezpiecznie, gwarno i tłoczno. Ludzie pchali lory, nosili podkłady i szyny, rwali płatami murawę na zamaskowanie budynków, pod które grunt dopiero równał traktor.

Na dnie wanny kopalimy rów. Rów, przewidująco wykonany w dobrych czasach, kiedy świeciło słońce i pełno było